Nr. 21. **Rok 16.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, *dnia 9. Listopada 1849.*

Rzut oka na Bośnią, czyli: Opis podróży po Bośnie, odbytéj przez Chorwata (ciąg dalszy). — Dziennik podróży naukowéj po Holandyi, w roku 1847 i 1848 odbytéj. — Pomnik Stanisława Żółkiewskiego, znajdujący się w katedrze Lwowskiéj. — Piosnki dla dzieci szkólnych. — Doniesienie księgarskie.

Rzut oka na Bośnią,

czyli

Opis podróży po Bośnie, odbytéj przez Chorwata.

(Ciąg dalszy.)

18go Grudnia mroźno było i śnieżno w Sarajewie. — Rano tataryn (posłaniec konny) z Trawnika przyleciał z rozkazem, aby się wszyscy baszowie Bośnieńscy zjechali do wezyra. Nasz basza Babić co tchu posyła po konie pocztowe, każe całemu dworowi ruszyć w pochód do Trawnika do tamecznego baszy i syna jego Mula Ibrahima Miralaja (następcy); wszyscyśmy na koniach pocztowych (było nas 30), jeden sługa wiódł trzy luźne konie samego baszy. Droga była bardzo zła, a my po Tatarsku, t. j. cwałem, jechali. — Tak pędząc od mezulhany do mezulhany (poczty), przybylim na noc do Wysoka, do dworu kadowego.

Jadąc Sarajewskim *paszalukiem* (1), wszędzie wieśniaków Tureckich spotykaliśmy, którzy kłaniając się baszy, skarzyli się, że ich urzędnicy uciskają jakoby byli *rajami* (2). Basza zaś zbywał ich krótko, mówiąc: „Starszych waszych przyślijcie do Trawnika; tam wasze dolegliwości możecie przedstawić w obec wezyra i innych baszów, a stanie się wam wedle sprawiedliwości.“ — Wysłańcy wieśniaccy przyszli do Trawnika, ale na prośby ich ani im odpowiedzi nie dano.

(1) *Paszaluk* jest to powiat rządzony przez baszę.
(2) *Raja* jest to poddany Turecki, który nie jest wyznania Muzułmańskiego.

W Wysoku każdy Turczyn musiał nam dać wieczerzę, a koniom obroku, jakobyśmy byli nizamowie i spahie (3). Przynieśli nam pieczone skopy, kołacze, chléb biały, i t. d. Jadła było tyle, żeby się cała kompania Austryackiéj piechoty najeść mogła. Wtém naraz do pokoju wpada Turków co niemiara, z wściekłością rzucą się do potraw, tłukli się, szturchali, aż zgroza patrzeć na nich. Najdziksze i najgłodniejsze wilki nie przesadziłyby ich w żarciu — a któryćto porządny człowiek mógłby się do nich przyłączyć! Ale takto było po Turecku! Mięso wszystko rozszarpali pazurami, a co kto uchwycił, nie puścił, jeno tak zwinnie połknął, jakby ino rzucał w sam żołądek. Patrząc na to żérowisko, a nieznając tego Tureckiego zwyczaju, głodnym zostawał. Zlitował się nademną *hafedży basza* (szafarz), i przyniósł mi resztki zebrane ze stołu baszy. — Dnia 19. Grudnia doszlim do Trawnika, zawitaliśmy do dworu Bega (4) Gilipowicia; tameśmy bawili dziesięć dni. Baszowie się co dzień dwa razy zebrali u wezyra, a każdemu baszy towarzyszyli mołojcy. Wprost dworu wezyrskiego stoi wielka dżamia, ma wieżę czworoboczną (5) i na niéj zegary Tureckie.

(3) *Nizam* jestto pieszy a *spahia* konny żołnierz Turecki. Spahia ma własnego konia, obaj kupują sobie sami mundur. Siodła ma Węgierskie, dwa pistolety w olstrach, na pasie szablę. Będąc w marszu, od gmin wszędzie dostaje żywność.
(4) *Beg* jestto rodzaj szlachcica Tureckiego. Begler-Beg, znaczy: Beg wszech Begów, t. j. naczelnik Begów.
(5) *Dżamia* jest dom modlitwy mały, zwykle okrągłéj budowy, lub czworobok wystawiony. *Munara* jest okrągła wieża, tak małéj objętości jak komin, a wysoko

Rzekłby kto może, że to był monastyr (klasztór Grecki) — ale war a! bobyś za taki domysł głową przypłacił! Trawnik jest małe miasto w dolinie górami opasanéj na około rozrzucone, przez niego płynie *Laszwa* rzéczka; jest tam kilka młynów i stęp; między niémi jest jeden młyn wodny, jak nasze wodniki zbudowany. Młyn ten słynie na całą okolicę; oglądają go tylko kupcy i agowie, a każdy podziwia i rzecze: (6) „Walaha," to jest murafet (coś sztucznego).

Zamek stoi na ustroniu pod górą *Wlaszyciem*, i przy zamku woda tryska z ziemi. Nieśmiałem iść na zamek, bo mnie Turcy zaczęli jakoś podejrzywać, pomrukiwali coś tam między sobą, zmawiając się na mnie, by mię obwinić o szpiegostwo. Na Boże narodzenie przyszedł do Trawnika frater (Franciszkanin), odprawiał mszę świętą, i opowiadał ludowi słowo boże; poszedłem też raz do kościoła. Biedni fratery wszelkich dokładają starań, aby lud od wiary muhametańskiéj odstraszyć, i w obec zgromadzonego ludu piorunują przeciw Muhamedowi i jego nauce. Wysłuchawszy nabożeństwa, wróciłem do domu, a tu mnie się Beg Filipowić (było u niego mnóstwo Turków) pyta: „Co też tam mówił prator na mszy?" — „Nic od rzeczy, — czytał tylko mszę." — „Ej," rzecze Beg, „czy ty myślisz, że ja nie wiem? Prator jeszcze nigdy nie odprawiał mszy, żeby nie przyganiał Turkom i Muhamedowi," — „„No, bo to prator jako prator,"" odezwał się jakiś Turczyn, — „„a kto mu coś zrobi?""

W samém mieście Trawniku, wszystkim chrześcianom zabroniono odbywania nabożeństwa; jeno za miastem służbę Bożą odprawiać im wolno. Chrześcianom rzymsko-katolickiego wyznania, Franciszkanin, który z daleka przychodzi do nich, mszę czyta w nędznéj chałupie, znajdującéj się u podnoża góry; chrześcianie zaś Greckiego obrządku, nie mając ani nawet chałupki służącéj za dom modlitwy, pod namiotem odprawiają swe nabożeństwo: pop jest w namiocie, a lud stoi pod gołém niebem na około namiotu.

Była też w Trawniku młoda Turczynka wdowa, która niemając dzieci, cały majątek po mężu odziedziczyła, więc była bogata. Nasz Husejn-Czausz (7), który był oraz *wecilaszcia*, zapoznał się z nią, a chodził do niéj aszykować. Podczas naszego pobytu w Trawniku, nie dostawaliśmy żadnych słodkich łakoci, ani potraw dobrych, jakto w Sarajewie bywało. Dostrzegliśmy, że Husejn co wieczór kilka misek, rzemykiem powiązanych, gdzieś tam zanosi. Pewnego wieczora, *kawazy* (8) zdaleka szli za nim, by się dowiedzieć, dokąd on to te miski niesie; spostrzegli, że on do owéj wdowy dąży. Powróciwszy do domu, opowiedzieli, że Husejn-Czausz aszykuje do onéj wdowy, a potrawy bierze ze sobą do jéj pomieszkania. Kawazy rozgniewani na Husejna, groźnie na niego wygadywali. Jedni wołają: „Jeżeli on tak czyni, tedy on zapewne naszą strawą nasyca swoją miłośnicę!" — A inni: „Powiedzmy to baszy, to go każe wbić na pal." — Inni zaś odpierają: „Nie, basza go nie zabije od razu; Husejn zaś powie, że ją pojmie za żonę. Ale pójdźmy sami, zaczajmy się na niego, a zrąbnijmy łotra." — W okamgnieniu wszyscy poostrzyli noże, ponabijali broń; umówili się, gdzie każdy z nich zaczai się na zasadzkę. Wyszli gdzieśtam — ale niezadługo wrócili się. Niemógłem pojąć rychłego ich powrotu, czy to obawiali się baszy, by ich śmiercią nieukarał, lub może bali się samego Husejna. A był to ten Husejn człek czterdziestoletni, olbrzymiéj postawy, kościsty, chłop jak dąb; piersi, ręce, nogi porosłe, jako u wilka; wzrok straszny, jakoby u wilkołaka; ztémwszystkiém zdawał się być człekiem spokojnym, łagodnym. Kawazy, jako i w ogóle wszyscy Turcy, żyją czasem ze sobą w braterskiéj zażyłości, czasem zaś przeciwnie przemyśliwają nad tém, jakby jeden drugiemu karku mógł nakręcić. — Więc też bystry Husejn, który wnet poznał, że kawazy, mając ku niemu urazę, bo jakoś zyzem na niego patrzą, że może nawet coś tam przeciwko niemu knują, miał się na baczności. Husejn pomyślał sobie: „Wyrznę ja im nauczkę!" — Dostrzegł on, że kawazy wieczorem gdy basza już śpi, idą do mechany spijać gorzałkę, postanowił tedy, dać im pamiętne. Idzie więc ku mehanie, gdy basza już spał; widzi, że kawazy, swoim zwyczajem, udają się do mehany. Dochodząc do karczmy, zobaczyli Husejna. Wołają tedy: „Otóż! patrzcie Husejna. Uciekajmy!" — Tenże z dobytym nożem puści się za nimi, ale nie dopadł nikogo. Nazajutrz kawazy w pokoju swoim rozmawiając o Husejnie, sarkali na niego, że im krzywdę wyrządza, że się nawet zasadził na nich, a chciał ich nożem poczęstować. Wtém Husejn, podsłuchawszy ich rozmowy, nagle wpada do pokoju, a do naj-

---

stérczy nad dachem dżamii. Wieża stoi po prawéj stronie wrót; tylko Begowa dżamia w Sarajewie ma munarę po lewéj stronie.

(6) Tureckie młyny są bardzo prostéj budowy. Oś stoi pionowo we wodzie, u samego wierzchu ma kamień; u dołu zaś ramiona z łopatkami, które woda w ruch wprawia. Kamień więc tylko tyle razy się obraca, ile samo koło. Koło stępowe zaś, tak jak w naszych młynach, ma oś, która nie spoczywa we wodzie, lecz poziomo leży, mając na obu końcach podstawki.

(7) *Czausz* właściwie nazywa się *starosta* na weselach. Tu jestto pewien urzędnik dworu baszowego. — *Wecilaszcia* jestto kuchmistrz baszy.

(8) *Kawazy* są dworzanie, czyli pachołki baszy Tureckiego; zowie ich też pandurami. W Chorwacyi Rakuskiéj kawaz znaczy to samo co policyant.

piękniejszego z pomiędzy nich mołojca w te słowa zaryknął: „Héj ty piecuchu, długo ty jeszcze będziesz wymyślał nademną? czyś już zapomniał o tém, żeś o mało przeszłéj nocy nie legł pod mym nożem? a pamiętajże, że nie umrzesz w łożu, jeno że zginiesz od mojéj ręki.“ — Rzekłszy się, wyszedł. A kawazy strasznym jego wzrokiem bardziéj przestraszeni niż gromkim głosem i groźbami, osłupieli. Zdziwiłem się, że tu publicznie odzywać się można z takiémi odgrożkami-bezkarnie, u nas za takie słowa człowiek poszedłby do więzienia; tam się zaś każden wygraża podobnie, najmniejszéj nieobawiając się kary. Kawazy bynajmniéj się nie zagrzéwali zemstą, owszem uspokoili się, nawet go usprawiedliwiali, mówiąc: „On ma jednak słuszność! kto mu zresztą może zakazać, żeby tego nie robił, co mu się podoba, i żeby sobie nie pojął za żonę którąkolwiek zechce.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Dziennik podróży naukowéj po Holandyi, w roku 1847 i 1848 odbytéj.

Kilka wiadomości ważniejszych, kilka notatek historycznych, które się komuż przydać mogą, skłoniły mię do ogłoszenia tego, co nigdy z teki mojéj wyjść nie miało. Należałoby może z tych nieporządnie porozrzucanych wypisów, z tego chaosu niezwiązanych z sobą niczém myśli, coś treściwszego wyciągnąć; należałoby uszykować rzucone bezładnie spostrzeżenia, nadać im jakąś barwę historyczną, słowem, w kształtniejszą ułożyć całość; ale z drugiéj strony zdawało mi się, że nic odmieniać nie miałem prawa, że to, co napisane, jest własnością ubiegłych dni i żadną miarą dzisiejszéj cenzurze ulegać nie może. Wybaczy szanowny Czytelnik, że dla podania jakiéjś wiadomostki historycznéj, wodzę go przez długie kartki, mnie tylko obchodzić mogącéj gadaniny, ale niech z pisma mego zechce sobie wyobrazić trudy szperaczy, którzy, by ziarnko złote znaleźć w polu ręką ludzką nietkniętém, pierwéj długo kopać i pilnie przypatrywać się muszą. Z resztą nie mamy podobno prawa wymagać po piśmie więcéj niżeli tytuł obiecuje, a kto raz weźmie się do czytania Dziennika podróży, nie powinien brać za złe autorowi, że kalejdoskop jego życia nie zawsze piękne, nie zawsze nauczające przedstawia obrazy. Ostrzegam więc zawczasu, że w ciągu tych kilku kartek znudzę czytelnika, raz erudycyą, drugi raz ckliwością sentymentalną — jeśli więc tą przestrogą odstraszyć zdołam — tém lepiéj; jeźli nie — to nie na mnie już wtedy ciężyć będzie wina.

Antwerpia $\frac{1}{12}$ 1847. Wyjechałem z Bruxeli 15go wieczorem. Przyszedł nareszcie czas, w którym spełnić mógłem jeden z moich długo marzonych projektów — podróży naukowéj po Holandyi. Zdawało się i zdaje mi się dotąd, że to, co dotąd na polu historycznych poszukiwań w Belgijskich archiwach zdobyłem, mogło tylko mię rozłakomić, mogło tylko oko wprawić do pilniejszego badania. Wszedłem dopiero w przedsionek wspaniałego gmachu — pilno mi więc dostać się do samych pokoi, przebiedz wszystkie, pochłonąć wszystkie. A przecież w chwili wyjazdu opuściły mię siły. Wygnańcowi stęsknionemu za poczciwém sercem, rozstawać się z ludźmi, których pokochał miłością prawdziwie rodzinną, było okropnie. Żal tłumił mi głos i wyciskał łzy; jąkając się wymówiłem: „Do widzenia, bądźcie zdrowi.“ A miałem ci ich obaczyć z témże samém uczuciem, z jakiém żegnałem? Czyż jestem tak doskonały, tak święty, żeby czas i odległość żadnego wpływu na moję miłość nie wywarły. Żałuję więc i tego uczucia, które powoli zastygnie.

Pozamną były owe słodkie chwilę, gdy w towarzystwie współtułaczy rozmawialiśmy, goniąc za wspomnieniami wyniesionémi z kraju, budowaliśmy plany na przyszłość i w małém kółku rodzinném przepędzaliśmy dnie tak szczęśliwe, jak tylko przepędzać je można na wygnaniu; przedemną długie miesiące samotności, oderwania się od wszystkiego, co sercu drogie, życia abstrakcyjnego, życia twardéj, ścisłéj pracy i rozmyślania. Po raz pierwszy wybierałem się w podróż tak długą bez nadziei usłyszenia słowa Polskiego, bez nadziei znalezienia przyjaznéj dłoni, przychylnéj twarzy i prawdziwego uśmiechu. Naraz chciałem porzucić wszystkie plany, wszystkie moje marzenia, bo nie czułem się dość silnym do podołania onym. Byłem w stanie zwątpienia. Aż mimowolnie upadłem na kolana i płacząc modliłem się szczerze, prosiłem Boga o dodanie mi sił, wytrwałości i mocy w dokonaniu zamierzonego celu i poprawieniu się z mych ułomności; prosiłem Matki najświętszéj o cudowną pomoc i opiekę nad drogiemi mi osobami. Widno Bóg i Matka najświętsza wysłuchali méj prośby, bo wstałem silniejszy na duchu i z weselszém obliczem poglądałem w przyszłość. Widziałem przed sobą obowiązek.

Krzyż św., którym mię pożegnali na drogę, dotknął mię znakami błogosławieństwa — jeśli teraz wymknie mi się łza, to już ze smutku, nie ze zwątpienia. Godzina jedenasta w nocy — jestem już w Antwerpii. — Myśl moja leci do owego domu, gdzie, jak za zwyczaj, zebrało się poczciwe kółko. — Ach! — jakżebym rad był pomiędzy wami.

A dzisiaj — jutro i późniéj sam jeden! —

$\frac{17}{12}$ 49. Po tyle kroć byłem już w Antwerpii, żadna ciekawość miasta już mię więcéj nie nęci — ałem przenieść na sobie nie mógł, aby nie pójść do galeryi i nie przyjrzyć się ulubionemu obrazowi. Mówię o Van Dycka Zdjęciu z krzyża. Widziałem wiele wspanialszych, piękniejszych obrazów — ten sam Rubens, którego tu obok całe ściany pomalowane, może mieć więcéj kolorytu, więcéj rysunku, więcéj nawet natchnienia niż Van Dyck, ale do serca tak nie przemawia. Cóż to za cudowna kompozycya. Obok Chrystusa zmarłego, rozciągniętego na prześcieradle, stoi Madonna z załamanemi rękoma. Ileż boskości w całéj postaci, ileż wzniosłego bolu w twarzy, uślachetniającego cierpienia. A obok tych piekących łez, ta spokojność i łagodność, obok tego rozszarpania ducha połysk nadziei i głęboka wiara. Tyle uczuć, tyle ideałów w jednéj zamknąć figurze, na to trzeba być arcy-mistrzem.

Powiedzieli mi w Brukseli o jakichś archiwach portowych Antwerpii. Wnet począłem budować zamki na lodzie, które się dzisiaj rozwiały; bo jużciż wiadomo, że okręty przybywając do portu podają swoje nazwisko, imie kapitana, ilość i jakość ładunku, a nakoniec miejsce zkąd pochodzą i zkąd przybywają. Widziałem się już z całym zapałem przezierającego księgi i szukającego okrętów z Gdańska, Elbląga, Rygi, Piławy i t. d. O cóżto będą za skarby, cóżto za odkrycia. Idę więc do biblioteki, która jest w ratuszu miasta. Biblioteka może liczyć 10 tysięcy dzieł, ale już zamarła, nowych dzieł wcale nie skupuje. Katalog drukowany (zwyczaj dość powszechny w Belgii) porządnie ułożony. Z Polskich rzeczy zwykłe za granicą dzieła: *Kromer Bazylijski, Neugebauer, Cellaryusz, Elzewira Respubliki* i rzadsze od tych: *Joannis Argenti e S. J. Visitatoris Provinciarum Poloniae et Lithuaniae Liber de Statu in iisdem provinciis ad Sig. III. P. Sq. R. poss. Ed. II. Ingolstadii p. Elisabetham Angermaiiam, A. 1616., 4to., 244.* Jestto pamiętnik napisany dla Z. III. (r. 1615., 14. Lut.) podzielony na 17 rozd. — Cel swojego pisma wykłada w rozd. Iym, mówiąc, że już trzeci rok upływa, jak za rozkazaniem starszych przyjechał do Polski dla obaczenia stanu zakonu, poprawienia i usunięcia złego (jeżliby jakie było) a przymnożenia dobrego — o czém gdy króla bawiącego na ówczas w Orszy na wyprawie Moskiewskiéj uwiadomił, J. K. Mość pisaniem swojém, dla autora (wizytatora) i dla całego zakonu wielce chlubném, zaszczycić raczył, czém zachęcony, wszelkich sił do spełnienia swego posłannictwa dołożyć postanowił. Zakłada więc sobie opisać, dla czego niektórzy źle o zakonie mówią, czém się zakon zatrudnia, odpowiedzieć na zaskarzenia wniesione, a z tego wyprowadzić rezultat, o ile oskarzycielom i potwarzom wierzyć należy. — Jestto książka nader ciekawa, maluje dobrze usposobienie religijne wszystkich prowincyj, wylicza fundacye i fundatorów, nieprzyjaciół i benefaktorów zakonu, wyświeca stan Jezuickich kollegiów, pokazuje liczbę uczniów i t. d.

Przeczytawszy to dzieło, wziąłem się do katologu manuskryptów. Ale rękopismów, nas obchodzić mogących, wcale nie znalazłem. Jest tylko zwykły po starych bibliotekach manuskrypt Marcina Pelaka Nr. 416. *Chronicon Martini Poloni, in 4to. str. 200;* pergamin z pocz. wieku XIV. Pisany we dwie kolumny, skrócenia częste, liniowanie stronnic podwójne, wzwyż oddzielające kolumny (4 na stron.) — w szerz wierszowe, których jest w każdéj kolumnie po 33. Litery inicyalne, majuskuły czerwonym atramentem malowane, wszakżeż w ostatnich stronnicach inicyały jeszcze nie dopisane. Pismo z połowy w. XIV. Kodex defektowy zaczyna się na Papieżu Bonifacyuszu (*sc. Bonifacius natione romanus ex patre iscundo, presbiterio sedit annis etc.* Rozd. XXXVII). Ostatnia kartka poszarpana ma dwa wiersze i całą następną stronnicę nie zapisaną, kończy się zaś na Klemensie V. roku 1308. (*Anno dni 1308 henricus comes de ..... in regn. romanorum elect. aquisgrani corona. regnum suscepit invocatis archiepiscopis......*)

Na tém się skończyły poszukiwania moje w bibliotece. — Zapytałem, gdzie są archiwa portowe? odpowiedziano mi, że archiwów nie ma, bo port dopiero za Napoleona zbudowany, a dawna przystań na Skaldzie pod bramą Herkulesa, nigdy pretensyi do nazwiska portu nie miała. Zmartwiony tą odpowiedzią pytałem, gdzieby były składy kupców Polskich, jeszcze bowiem w Brukseli znalazłem list, w którym Zyg. III. upomina się o zwrót domu Hanzeatyckiego w Antwerpii (*) przeznaczonego na skład to-

(*) Oto jest ten list. Archiwum Brukselskie. Oddział Niemiecki. — *Vol. Correspondances d'Izabelle avec les Rois du Nord.* — Oryg. p. 167., pieczęć królewska.

Sig. III. S. P. D. Isabellae Clarae Eugeniae D. g. Infanti Hispaniarum etc. Inter alias quae Hanseaticae Societatis nomine censentur Civitates, non postremum civitas nostra gedanensis obtinet locum, est pote quae celeberrimo totius Europae emporio clara, vix ulli communitatis hujus civitati cedere videatur. Ea nobis totius Collegii Hanseatici nomine reposuit, Domum ipsorum publicam publico et ingenti sumptu in urbe Antverpiensi constructam usibusq. ejusdem comunitatis destinatam, ac specialibus privilegiis et libertatibus Antecessorum Sctis. Vae. insignatam, a magistratu Civitatis Antverpiensis diversos ad usus, nimirum ad receptionem aegrotorum militumq. stationem destinatam esse, ac ob id ad maximam desolationem devenisse. Humillime itaque nobis praefata civitas nra. totius Collegii nomine supplicavit, ut hac in parte nostram apud Stem. Vm. interponeremus authoritatem. Aequitati idcirco causae petionisque innixi a Ste. Va. peramanter petimus ut predictae civi-

żalem musieliśmy pójść zaproszeni do obiadu. Przy obiedzie konwersacya ogólna o podróży, o statkach parowych, o Renie, Szwajcaryi, ostatniém posiedzeniu Izby Paryskiéj i t. d., i t. d. — mój towarzysz mówił dużo, ja przeciwnie do konwersacyi ogólnéj nie lubiąc się mieszać, milczałem.

Tymczasem przedmiot ogólnego zajęcia wywołał wszystkich na statek — słońce zaszło już ku spoczynkowi, ostatnie jego tchnienia czerwono obijały się o gęste chmury, nisko ponad morzem osiadłe, a z drugiéj strony księżyc ciekawą twarzą wyzierając ponad dachy i drzewa sąsiedniego brzegu, przeglądał się w wodzie. Gdzieś daleko błyszczała latarnia, ku któréj, jak się zdawało, dążyliśmy. Ale statek znalazł niezwalczone przeszkody, ogromne koła maszyny zajadle biły w wodę, massa lodów przełamywała się i bryzgając wodą rozbiegała się z hukiem. Wszakżeż z każdym krokiem zmarzła powierzchnia coraz bardziéj grubiała, a przeprawa nasza, trudna z początku, stała się nadal niepodobną. Co tu robić — co robić — wszyscy szukają kapitana, a kapitan na moście biega od końca do końca i krótkie przerywane wydaje rozkazy. Ta jego niespokojność tém większéj trwogi nas nabawia, stanęliśmy razem sejmikując, aż kapitan krzyknął: Terug, naar Moerdryk! i prędko do nas zeszedł. Nieprzyjemnie było nam się dowiedzieć, że do Roterdamu dla lodów dopłynąć nie możemy, że trzeba nam wrócić do Moerdryk, gdzie albo zanocować, albo do Dortrecht dyliżansem zajechać wypadnie. Rzeczy zaś nasze późniéj w Roterdamie miały nam być oddane. W tym ostatnim punkcie kapitan niezwalczoną znalazł oppozycyą; jednocześnie krzyknęli wszyscy, że się bez rzeczy nie ruszą. Kapitan zaś tłumaczył się, że bez urzędnika celnego stępla oddawać nie może, że wszystkie rzeczy razem zapakowane, a on skrzyni otworzyć nie poważa się. Posłano więc po burmistrza, my tymczasem zeszliśmy do kajuty, chcąc po tylu nieprzyjemnościach, pocieszyć się kieliszkiem skidaru.

Nareszcie oderwano pieczęć — zabraliśmy swoje rzeczy i wysiedliśmy na ląd. Dyliżans zawiózł nas do Dortrecht, zkąd dwa razy przeprawiając się przez wodę, zajechaliśmy do Roterdamu. Było to coś ciekawego ta nasza ostatnia przeprawa. Noc straszliwie ciemna, zimno okropne przejmowało na wskróś, kiedy w małéj łódce napakowani, jak w Żydowskiéj bryce, dobijaliśmy do Roterdamu. Ogromne bryły lodu, ścierające się na wysokich bałwanach, odpędzały nas nieraz daleko od lądu; przed nami połyskiwały życzliwe światełka, a w okół nas straszna przestrzeń wody, która wśród ciemności jeszcze okropniejszą się wydawała. Nareszcie przychylna jakaś fala ulitowała się nad nami i porwawszy w swoje objęcia jednym śmiałym zamachem wyrzuciła na ląd. Wszakżeż nie tu koniec naszych przeciwności. Od brzegu jeszcze ćwierć mili do miasta; trzeba było iść piechotą i nieść do tego bagaże. W niemałym byłem kłopocie — udźwignąć samemu niepodobna, zostać się nad brzegiem zimno i niebezpiecznie. Rybacy nie chcieli opuścić swéj łodzi, a moi współtowarzysze podróży, Holendrzy, poszli sobie precz. Aż mój Francuz wywiódł mię z ambarassu, wziął ze mną kufer i tak odpoczywając co chwile, zaszliśmy około 3éj po północy do hotelu. Zziębnięty, zmęczony, wypiłem z onym poczciwym Francuzem butelkę wina i rzuciwszy się na łóżko spałem tak smacznie, żem nic a nic nie słyszał, jak Kelner do moich drzwi szturmował, a towarzysze podróży odjeżdżali. Obudziłem się o 12éj w południe, właśnie, kiedy ostatni ranny konwój odchodził. Rad nie rad musiałem czekać do wieczora.

Opisywać miasta i jego osobliwości (zwłaszcza, iż nie ma żadnych) nie będę. Statua Erazma wyobraża poważnego doktora, zaczytanego w książce. Ach jak zabawnie wygląda uczony pomiędzy kramarzami; założyłbym się, że on jeden w całém mieście czyta naukową książkę. Miasto, jak wszystkie Holenderskie, szkaradnie się wydaje. Domy czerwono pomalowane, architektura owczarniana z dachami niezmiernie spiczastemi i sztachetami żelaznemi przed bramą wchodową. W hotelu zdarli mię niemiłościwie; ale taki los czeka wszystkich podróżnych.

Lecz dość już na dzisiaj, mój dzienniku; oto stróż nocny śpiewa pod oknami:

Het slaat twalf uren,
Laat uitgaan de vuuren, i t. d.
(Bije dwunasta, — zagaście ognie, i t. d.)

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pomnik Stanisława Żółkiewskiego, znajdujący się w katedrze Lwowskiéj.

Każdemu, acz najmniéj z historyą naszego narodu oswojonemu, znany jest nieśmiertelnéj sławy Stanisław Żółkiewski, wielki kanclerz i wielki hetman koronny; w pamiętnéj klęsce pod Cecorą roku 1620 życia pozbawiony, z Turcyi do Żółkwi przewieziony, i tamże w parafialnym kościele pogrzebiony i pomnikiem uczczony — ale mniéj może być wiadomo: że ten wielki wódz nasz był synem także Stanisława Żółkiewskiego. — „otóż ten „Stanisław Żółkiewski, ojciec hetmana Stanisława, posłował na sejm Lubelski roku 1569, „kędy podpisał unią Litwy z Koroną, i na „Zjazd generalny pod Jędrzejowem roku 1576, „na Wiślickim także kongressie, siła do uspokojenia ojczyzny i do nakłonienia serc synów

„koronnych do Zygmunta III., króla, przyłożył „się. Miał za sobą Lipską z Goraja, która mu „dwóch synów powiła, Mikołaja i Stanisła-„wa. — Był najprzód wojewodą Bełskim, z te-„go krzesła przesiadł się na Ruskie w roku „1586, z tego do grobu roku 1588, w katedrze „Lwowskiéj pochowany.“ (Niesiecki). Załączona rycina przedstawia wiernie pomnik, na którym w naturalnéj wielkości półwypukły posąg rycerza w pancernéj zbroi z mosiądzu. — W ręku laska marszałkowska, u stóp herb i przyłbica. — Pod nogami następujący napis:

Stanislaus de Żółkiew Palatinus Russiae, cum multis egregiisque pace et bello meritis suam in rempublicam fidem ac studium probasset, multarumque pro ea tam accerum quam offensionum superstes claruisset, tandem plenus dierum Anno aetatis suae LXVIII fatis concessit, die 25. Julii. Anno Christi MDLXXXVIII (1588), *oretur pro eo*;

co znaczy po Polsku:

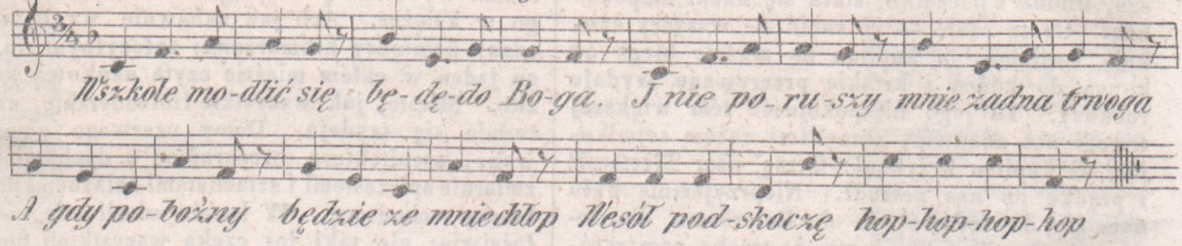
„Stanisław z Żółkwi, wojewoda Ruski, da-„wszy w wojnie i pokoju, przez wielkie i li-„czne zasługi, dowód wierności i przywiązania „do Rzeczypospolitéj, zajaśniawszy po wielu po-„tyczkach i ranach, nakoniec w pełni życia, „przeniósł się do wieczności, w roku 68 od „swego urodzenia, na dniu 25. Lipca roku pań-„skiego 1588. — Módlcie się za niego.“

Rys. 1849 roku.
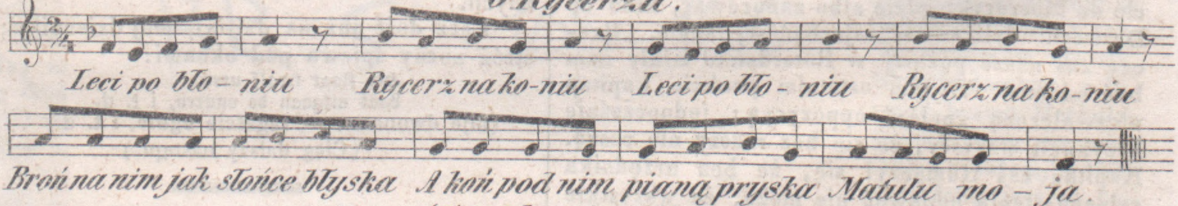
L. K.

Piosnki dla dzieci szkólnych.

O dobrym chłopku.



O Rycerzu.



(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: X. *Fr. Wawrowski*, w Krotoszynie.)